

WŁODZIMIERZ GRYCNER

**Życie
marynarskie**



Włodzimierz Grycner

Życie marynarskie

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2020

Włodzimierz Grycner
„Życie marynarskie”

Copyright © by **Włodzimierz Grycner**, 2020

Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**

Projekt okładki: **Włodzimierz Grycner**

Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: 978-83-8119-646-8

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści:

| | |
|---------------------------------------|------------|
| Wstęp | 6 |
| Od Autora | 8 |
| Peesemka | 44 |
| Na Kubie | 56 |
| Mój murzyn | 63 |
| I am Johnson | 71 |
| Samobójczy skok | 77 |
| Smutny koniec „Olsztyna” | 82 |
| Berberyjki | 87 |
| REWOLUCJA 1970 | 91 |
| Piwożłop | 98 |
| Mielizny | 109 |
| W Leningradzie | 115 |
| Dolarowy debiut | 126 |
| Judy | 135 |
| ŚMIERĆ KAPITANA | 139 |
| Saksy | 144 |
| Na mieliźnie | 152 |
| Jak zostałem kapitanem | 156 |
| Kapitan „Rdza” | 164 |
| Bazar Karaiby | 168 |
| Kapitaństwo | 187 |
| Mayday „Niewiadów” | 204 |
| Lodowy rejs | 214 |
| Przeznaczenie | 224 |
| M/s „Nordtrader” | 233 |
| M/s „Startrader” | 244 |
| Rio de Janeiro | 257 |
| Daleki Wschód | 263 |
| Mayday last time | 275 |
| Monika | 280 |
| Marynarska pomoc | 284 |

| | |
|---|------------|
| Orzeł | 290 |
| W sztormie | 303 |
| Powrót na „Orła” | 314 |
| Na „Orle” | 325 |
| Ostatni rejs m/s „Siekierki” | 335 |
| Samotny żeglarz..... | 351 |
| Pożar | 361 |
| Chrzest morski | 367 |

Wstęp

Kapitan żeglugi wielkiej Włodzimierz Grycner to szalenie barwna postać. Jako kapitan i jako człowiek. Obdarzony poczuciem humoru, optymistycznie nastawiony do świata i ludzi, zyskuje ich sympatię. A to ważne, zwłaszcza, gdy sprawuje się funkcję kapitana. Obdarzony cechą wspaniałego gawędziarza, przelewa na papier równie barwne opowiadania. To niewydumane opowieści, ale powstałe z potrzeby pisania autentyki. Opis, ale jakże barwny, zdarzeń ekstremalnych, także na pozór zwyczajnych, rutynowych, jakie towarzyszą ludziom wykonującym zawód marynarza w nie zawsze sprzyjającym im żywiole morskim. Trzeba wrażliwości postrzegania, lecz także doświadczenia i swoistego zbratania się z morzem, zrozumienia jego reguł, aby z talentem i wnikliwością opisywać codzienność marynarskiego życia. Nie każdemu prawdziwemu marynarzowi, niezależnie od lat służby na morzu i liczby przebytych mil morskich, zostało to dane. Tylko nieliczni, po latach fascynacji środowiskiem morskim, zapragnęli je opisać. Myślę, że tak stało się, gdy chodzi o Włodzimierza Grycnera. Upewnia mnie w tym fakt, że byłem jego wykładowcą na kursie kapitanów żeglugi małej, a następnie - wielkiej. Osiągane przez Włodzimierza Grycnera coraz wyższe szczeble kariery zawodowej

śledziłem, obserwując jego coraz bardziej ukształtowany warsztat pisarski. Zamieszczał opowiadania w „Morzu”, „Kurierze Morskim”, „Morzu i Ziemi” coraz lepsze, coraz bardziej literacko dojrzałe, jak chociażby zamieszczone w tej książce:

„Jak zostałem kapitanem”, „Mayday last time”, lub „W sztormie”. Kapitan żeglugi wielkiej Włodzimierz Grycner to przede wszystkim zawodowiec. Ileż to kursów kończył, aby nie pozostać w tyle. Zawsze lubił i lubi sięgać do najwyższej poprzeczki. Taki jego charakter. Trudno zatem dziwić się, że załogi statków, którymi dowodził, odnosiły się do niego z całkowitym zaufaniem. Jego cechą jest i to, aby być pierwszym wśród równych.

Komandor Marynarki Wojennej mgr Eugeniusz
Koczorowski

Eugeniusz Koczorowski, 1929, w Bydgoszczy. Komandor marynarki wojennej, pisarz, malarz i historyk.

Autor 23 książek i 300 obrazów. Jego prace malarskie prezentowane były na 18 wystawach indywidualnych i 3 wystawach zbiorowych.

Mieszka w Sopocie.

Od Autora



To ja! W wieku 2 lat.

Najstarsze moje wspomnienia sięgają sześciu lat. Zamykam oczy i widzę kilka scen, jak ze starego filmu. Zaczynają się od przedszkola. Ojciec ciągnie mnie za ucho, a ja nie chcę iść. Płaczę, wrywam się. Nie cierpię przedszkola.

Ale dlaczego? Tego już nie pamiętam. Następna scenka. Oto stoję na prawdziwej scenie, a wszyscy namawiają mnie do wyrecytowania wierszyka. Stoję zacięty. Ze złości wierszyka im nie wyrecytuję.

Mój krótki pobyt w przedszkolu kończy się wyrzuceniem. Pobiłem rówieśnika w piaskownicy! Widzę dokładnie, jak to się stało. Waliłem go łopatką po głowie.

I znowu nie wiem, dlaczego. Potem Rodzice próbowali mnie jeszcze gdzieś ulokować, ale uciekałem. Spędzałem długie godziny na niemieckim cmentarzu, albo w przypadkowej bramie. W młynie, obok którego mieszkaliśmy, majster targał mnie za ucho.

Wyrywał mi paczkę papierosów „Górniki”. Kupiłem je za pieniądze otrzymane od Mamy. Dawała mi je, gdy nie chciałem jeść kalafiora, albo pić tranu. Potem za te „Górniki” dostałem tęgie lanie od Ojca. Ciekawe, jak dobrze zapamiętałem te lania... Miałem też inne skłonności. Oto siedzę na długich schodach naszego domu w towarzystwie dwóch dziewczynek. Bawimy się w doktora. A doktorem jestem ja.

Na tych ekscytujących badaniach przyłapuje nas starszy brat. I znowu Ojciec z laniem. Kiedy indziej znalazłem w mieszkaniu sąsiadki złoty naszyjnik. Leżał za kanapą. Zaniósłem go w prezencie Mamie. I powiedziałem, że znalazłem na ulicy.

Wkrótce zrozpaczona sąsiadka zwierzyła się Mamie, że zgubiła kosztowny naszyjnik. Zaś Mama na to, że nic straconego, gdyż Włodziu znalazł go na ulicy. Dla odmiany, wszyscy mnie teraz chwalili. Wszystko to działo się w Chełmży, na Pomorzu. Przeprowadziliśmy się tam w czterdziestym ósmym z Wielebnowa, który był wioską pod Kielcami. W Chełmży - jak mawiano - „ziemia pankła i wyłoł

się fiut”. Urodziłem się właśnie w Wielebnowie. Natomiast w dowodzie osobistym zapisano, że w Łopusznie. Może dlatego, że tam, jako dwulatek, pieszo kroczyłem do chrztu? W czasie zawieruchy wojennej Rodzice uciekli z Kielc na wieś, do rodziny. W Chałmży zamieszkaliśmy na parterze willi byłego właściciela młynów, Niemca. Z okien naszego nowego domu roztaczał się widok na czarny ostrosłup spichlerza. Obok pracował młyn. Poprzedni właściciel tych wspaniałości, Niemiec Rymer, został jakoby zastrzelony przez Ruskich w swojej – czyli teraz naszej – piwnicy. Pracownicy młyna opowiadali o kufrach złota, które podobno ukrył gdzieś tuż przed śmiercią. Z tego powodu, od pierwszej chwili, szukaliśmy z bratem skarbu. Opukiwaliśmy ściany, a nawet wierciliśmy w nich dziury. Martwiło nas tylko, że nie możemy przeszukać piętra, gdzie zamieszkali obcy ludzie. Wszakże okazało się, że opowieści nie były do końca zmyśleniem.

Przez płot naszego ogródka, obserwowaliśmy pewnego dnia, jak milicjanci wynosili skrzynie ze złotem. Znaleziono je w mieszkaniu staruszki, od dawna przymierającej głodem. Okazało się, że staruszka była kiedyś sprzątaczką u Rymera i dosłownie spała na złocie. W jej piwnicy leżały skrzynki ze złotem, z lekka tylko przykryte ziemniakami. Przy łóżku natomiast stała metrowej wielkości figura Świętego Antoniego, cała ze złota. Aby nie rzucała się w oczy, pomalowano ją w różne kolorki. Wszystko wydało się wówczas, gdy staruszka chciała sprzedać pierścionek.

Brakowało jej pieniędzy na wyżywienie, ale zażądała bardzo niskiej ceny. Jubilerowi wydało się to podejrzane.

No i zakapował staruszkę. Mój starszy brat dręczył się potem, że nie przyszła z tym pierścionkiem do nas. Ludziska straszili, że duch Rymera zemści się. I wtedy zaczął mi się śnić.

Gonił mnie po krętych schodach piwnicy, a na plecach czułem jego straszliwy oddech. Przez całe lata budziłem się zlany potem, z krzykiem na ustach. W piwnicy, pod balkonem, znajdował się sekretny, zamurowany pokój. To w nim zapewne Rymer trzymał swoje skarby. Jednak gdy przyjechaliśmy do Chełmży, w ścianie owego pokoju była już wielka dziura, przez co przestał on być sekretny. Wnętrze ziało pustką. Skarby Rymera – o ile tam były – dawno wyparowały. Sąsiadki plotkowały, że po wojnie grasował tu pewien facet, który ciężarówką wywoził dobytek z willi. Nawet krany powyrywał! Ojciec dostał posadę w NIK-u. Był rzeczoznawcą od ziarna. I dlatego dostał służbowe mieszkanie w byłej willi Rymera. Zamieszkaliśmy na parterze, mając trzy pokoje, oszkloną werandę, kuchnię ze spiżarnią, łazienkę i ogromny korytarz, na którym grałem z bratem w piłkę. Drzwi między dużymi pokojami były rozsuwane i chowały się w ścianach. Czułem się dumny z naszego wspaniałego domu. Tym bardziej, że wokół rozlewał się piękny ogródek, z dwiema jabłonkami, drzewkami wiśni, czereśni i śliwki. Mama dostała pracę laborantki w młynie i żyło nam się szczęśliwie. Niestety, nie byliśmy z bratem rodowitymi „chałmżyniakami”.

Kosztowało to nas początkowo masę przelanej w bójkach krwi, podczas których tłukliśmy się z miejscowymi. Pamiętam, że rzucono we mnie ciężkim butem w plecy, gdy próbowałem przyłączyć się do dzieci, bawiących się na Świńskim Targu. Mój brat stoczył wtedy w mojej obronie ciężką walkę ze starszym od siebie garbusem. Ale najgorsza była miejscowa gwara, której z bratem nie rozumieliśmy, co nas czyniło wyrzutkami społeczeństwa. Jako wyrzutki, skazani byliśmy początkowo na zabawy w młynie i spichlerzu, w którym przechowywano zboże. Były to zresztą wspaniałe wyprawy w nieznane, w dodatku zabronione. Bawiłem się też niekiedy z dziećmi sąsiada z góry, ale one cierpiały na jakąś dziwną chorobę, przez co nie mogły chodzić. Chełmżyńskie starsze dzieci długo mnie przeganiały, przezywając „Grycek”. Pewną pociechą było piękne, duże jezioro, nad którym spędzaliśmy z bratem wspaniałe wakacje. To tam właśnie mój braciszek nauczył mnie pływać. Po prostu, gdy miałem sześć lat, wrzucił mnie z pomostu do wody. Było to wstrętne. Ale z dzikiego przestrawu, błyskawicznie nauczyłem się pływać. I w rok później startowałem już w zawodach na krytym basenie! Nawiasem, był to wówczas jedyny kryty basen w województwie bydgoskim, a wybudowała go nasza cukrownia, przed wojną największa w Europie. Wreszcie dorosłem do szkoły podstawowej. Pamiętam, że na korytarzu przepychałem się do drzwi klasy. Musiałem nawet stoczyć walkę z liderem kolejki!

I do klasy wszedłem pierwszy! Szkoła podstawowa Towarzystwa Przyjaciół Dzieci to długa historia, przesiąknięta walką o przetrwanie. Do klasy chodzili ze mną tak zwani przerośnięci. Czyli tacy, którzy nie skończyli w terminie edukacji z powodu wojny.

Lub – po prostu – byli na to za tępi. Najbardziej wstydlivy incydent przeżyłem od razu w pierwszej klasie. Kiedy siadałem, kolega z następnej ławki podstawił mi pióro na sztorc. Podskoczyłem z bólu, a stalówka wbiła mi się w tyłek. Pani nauczycielka natychmiast wyciągnęła mnie na środek klasy, po czym publicznie ściągnęła mi spodnie i majtki. Stalówka została z ciała wyrwana, ale co to był za wstyd! Oto dziewczyny oglądały mnie na golasa! Więc przysięgłem wrednemu koledze zemstę. Po lekcjach zacząłem się i trochę go poturbowałem, Szkoda, bo okazał się synem dyrektora liceum. Zrobiła się z tego cała afera. Taki miałem początek. A potem kolejne klasy zaliczałem, tłukąc się ze wszystkimi. Trwało to tak długo, dopóki nie stworzyłem własnej „bandy”. Wtedy zaczęto się z nami liczyć. Miałem jednak przechlapane u woźnego, a co gorsza – u dyrektora Szczupaka. Woźny czatował na mnie, gdzie się dało i profilaktycznie walił mnie w łeb. A potem prowadził do dyrektora Szczupaka, który był sadystycznym tysolem, z wklęśniętą czaszką. Wieść niosła, że tę wklęśniętą czaszkę sprezentował mu jeden z przerośniętych. Teraz Szczupak mścił się na kim popadło. Zaś na mnie w szczególności. Zawsze ustawiał mnie pod ścianą i walił zaciśniętą pięścią w czoło. Naturalnie, głowa odbijała się od

ściany, a ja oczekiwałem następnego ciosu. Kiedyś stałem na boisku, gdy nagle otrzymałem potężny cios w potylicę. Zaryłem głową w piasek. Zanim oprzytomniałem, już woźny ciągnął mnie za ucho do Szczupaka. Ale udało mi się wyrwać i uciec na drzewo, które rosnęło na boisku. Potem musiałem tam tkwić przez kilka godzin.

Woźny najpierw mnie pilnował, lecz w końcu zrezygnował. Tym razem mi się upiekło. Ale Mamę regularnie wzywano do szkoły. Kryła mnie jednak przed Ojcem, więc lania nie było. Wszakże nigdy nie naskarżyłem w domu na Szczupaka, ani na woźnego. Przyzwyczajono mnie bowiem od małości, że życie to ciągła walka. W pierwszej klasie zapisano mnie do zuchów. W wakacje wyjechałem na swój pierwszy obóz harcerski. Był na nim zresztą również mój starszy brat. Mieszkaliśmy pod namiotami, w lesie. Wieść niosła, że okoliczni chłopcy napadają na harcerzy.

Którejś nocy obóz zalała woda, gwałtownie spadająca z gór po ulewnym deszczu.

Wtedy to wysłano mnie na wartę do obozu dowódcy. Moja nowa służba zaczynała się o północy. Las trzeszczał złowrogo. Wydawało mi się, że to idą miejscowi chłopcy.

Cały drżałem z wielkiej emocji. Trzymałem w dłoniach kij i pilnowałem, aby mi nie ukradli flagi hufca. Nagle w wysokiej trawie zauważyłem czołgające się dwa cienie. – Stój! Kto idzie?! Hasło! – wrzasnąłem, jak mnie uczono. Nikt jednak nie odpowiedział. W chwilę potem dwa draby podbiegły do mnie. Wyrwałem gwizdek z kieszeni i zacząłem gwizdać, ile sił w płucach. Ale byłem za słaby. Draby zabrały

mi gwizdek i zerwały flagę. Wtedy zacząłem głośno wzywać pomocy. Nagle wkoło zapaliły się latarki. W ich świetle zobaczyłem, że moi prześladowcy noszą harcerskie mundury.

Pochwalono moją czujność. A potem, rozdygotanego, posłano natychmiast spać.

Nie miałem więcej takich przyjemności na tym obozie. W drugiej klasie zorganizowano w harcówce szopkę na Święta Bożego Narodzenia. Wśród świętych stał też Święty Józef Stalin – Ojciec Wszystkich Dzieci. Dobrze, że nikt za to nie dostał po krzyżu.

Pamiętam też, jak wszyscy w szkole płakali, gdy Święty Józef z Kremla umarł. Tak było! A w trzeciej klasie zakochałem się w koleżance. Jasia była najpiękniejsza i najzdolniejsza. Z tych powodów ciągnąłem ją za warkocz, a ona kopała mnie w goleń. Taka to była nasza miłość. Tuż za szkolnym murem rozciągał się niemiecki cmentarz, na którym spędzałem większość wolnego czasu. Cmentarz był zrujnowany i porośnięty gęsto krzakami, przez co idealnie się nadawał do zabaw w podchody i walki na kije. Każda „banda” miała tu swój bunkier, przerobiony z jakiegoś grobowca. Któregoś wieczoru na cmentarzu utknęła mi noga w dziurze. Okazało się, że to wierzchołek starego grobu. Szybko poszerzyłem otwór i wślizgnąłem do wnętrza, głową w dół. Na szczęście, nic mi się nie stało. Grobowiec bowiem okazał się spory. Poturlałem się tylko po stercie piachu, który latami wsypywał się przez otwór, w jakim utknęła mi stopa. Niestety, zgubiłem latarkę.

Nie czułem jednak strachu. Byłem przyzwyczajony do grobowców, cmentarza i ciemności. Po krótkich poszukiwaniach odnalazłem latarkę. Grobowiec miał rozmiary sporego pokoju. Stały tam trzy duże, cynowe trumny. A także jedna, mniejsza.

Byłem uszczęśliwiony. Oto odkryłem grobowiec, o którym nikt z nas jeszcze nie wiedział. Moja "banda" będzie miała idealną kryjówkę. Następnego dnia przesunęliśmy trumny, które odtąd zaczęły nam służyć za ławki- trumien nigdy nie otwieraliśmy.

A potem dumnie zakurzyliśmy papierosa! To była świetna kryjówka. Milicja często przeczesywała cmentarz, ale nas nigdy nie znalazła. My trzymaliśmy tam wszystkie nasze skarby – sztylety, broń, kilka bagnetów. Kiedyś przyniosłem do domu pistolet parabellum. Nieszczęśliwie jednak znalazł go Ojciec i znowu dostałem rżnięcie. Niestety, niejako przy okazji, straciłem moją najcenniejszą broń. Lecz na cmentarzu często znajdowaliśmy różne rodzaje broni, więc długo nie cierpiałem. Kiedyś odkryliśmy podziemny korytarz. Podobno łączył cmentarz z katedrą. Był bardzo długi. Ktoś nawet powiedział, że ciągnie się pod całym miastem.

Jak głosiła wieść, na początku wojny bronili się w nim przed Niemcami polscy marynarze. Nie mogliśmy jednak tego wszystkiego sprawdzić, gdyż korytarz był w pewnym miejscu zawalony. W ten sposób została przekreślona również nasza wyprawa po skarby, które, jak uważaliśmy, gdzieś w korytarzu zostały ukryte. Milicja jednak ciągle

deptała nam po piętach. Raz nawet zarobiłem pałą przez tyłek, kiedy zwiisałem na cmentarnym murze. Chodziło o to, że hałasowaliśmy i milicjanci wiedzieli, że ktoś się na cmentarzu kręci. Urządzaliśmy strzelania ze starej, zardzewiałej broni. Mocowaliśmy, na przykład, stary karabin do drzewa, a potem ciągnęliśmy za sznurek, przywiązany do cyngla. Co tu dużo mówić, cmentarz był moim drugim domem, a "banda" drugą rodziną. Na lekcjach religii, prowadzonych przy pięknej trzynastowiecznej katedrze, zajęła się mną i bratem siostra zakonna, Kornelia. Była piękną kobietą, wszechstronnie wykształconą. A także przemiłą opiekunką. Braciszka nauczyła ministrantury.

Służył potem do mszy świętej. Chodziliśmy też do niej na lekcje gry na pianinie.

Ale ja chyba jeszcze nie dojrzałem do tych nauk, bo ministrantury nie opanowałem, zaś z lekcji muzyki uciekałem. Ojciec zapisał mnie wtedy do dziecięcego zespołu mandolinistów, występującego w domu kultury cukrowni Chełmża. Przez cały rok targałem struny małej mandolinki, ale muzykiem jednak nie zostałem. Niebawem zresztą zespół rozwiązano. Przyznać muszę, że najlepiej czułem się na wagarach. A wagary świetnie udawały się w cudzych sadach. Wprawdzie mieliśmy własny sad i bardzo smaczne owoce, lecz znacznie bardziej smakowały mi cudze. Nazywało się to „chodzeniem na fruchtę”. Czasami gonił nas właściciel. Kiedyś nawet spadłem z wysokiego drzewa wprost pod jego nogi. Ale żadnej krzywdy mi nie zrobił. Przestraszył się bardziej, niż ja.

Przede wszystkim martwił się, czy mi się coś nie stało... W piątej klasie dogoniliśmy przerośniętego. Nazywali go Jasiu Kipa, ponieważ zbierał po rynsztokach pety. Jasiu siedział zawsze w ostatniej ławce i się onanizował. Potem pokazywał nam efekty owych działań w pudełku po zapałkach.

Dziewczęta nerwowo chichotały, domyślając się chyba, czym się Kipa zajmuje w ostatniej ławce. Po lekcjach Jasiu zabierał nas na cmentarz, gdzie nam demonstrował swoje męskie uzbrojenie w działaniu. Bardzo się martwiłem, gdyż nie wychodziło mi tak, jak Kipie-znaczy nie byłem jeszcze mężczyzną. Wszystkie nasze „bandy” od niepamiętnych lat walczyły z Aliantami.

Tak nazywano sezonowych robotników, przyjeżdżających do cukrowni na jesienną kampanię. Starsi nam opowiadali, kto ilu Aliantów załatwił, co zdarzało się jeszcze przed wojną. Podobno były też wypadki śmiertelne. Dlatego i my, zgodnie z tradycją, szykowaliśmy się do walki z tymi cholernymi Aliantami. Przybywało ich na kampanię cukrową około trzystu. Było więc z kim walczyć. Pod koniec podstawówki miałem już dobrze wyszkoloną „bandę”. W rzutach kamieniami byliśmy najlepsi. Niekiedy jeździliśmy na dworzec kolejowy, gdzie napadaliśmy i obijaliśmy przyjezdnych. Naturalnie, w ogóle ich nie znaleźliśmy, robiliśmy to dla czystego treningu. Ojciec mój zmienił pracę. Został głównym księgowym w papierni w Chełmży. Miał teraz trochę więcej czasu i pilnował mnie lepiej. Ale i tak urywałem się z domu, a rodzice nie wiedzieli, co robię.

Dla rozrywki i na złość majstrowi, który niegdyś przyłapał mnie na paleniu „Górników”, często strzelałem z procy w okna młyna i spichlerza. Potem z ukrycia obserwowałem, jak majster wymienia szyby na nowe.

A gdy odchodził, wybijałem je na nowo. Któregoś lata zrzuciłem sobie na nogę szynę kolejową , przez co musiałem przez wiele miesięcy chodzić w gipsie.

W takim stanie odwiedzałem częściej naszą, przepiękną katedrę. Nastrajała mnie bogobojnie. Kiedyś modliłem się przed figurą Świętego Antoniego. I nagle wydało mi się, że do mnie przemówił. Od tej chwili właśnie tego świętego wyróżniałem moimi modlitwami. W końcu przysiągłem, że na bierzmowaniu przyjmę jego imię.

Słowa dotrzymałem. W ten sposób mam teraz trzy imiona. Włodzimierz, Edward – to po Ojcu – i Antoni właśnie po Świętym Antonim. Ale gdy tylko zdjąłem gips, znowu jezioro stało się moją największą rozrywką. Całymi dniami pływałem, zresztą pod czujnym okiem trenera. Nawiasem, mój brat, Andrzej, był już wtedy mistrzem Pomorza w stylu klasycznym. Razem z nim wybieraliśmy się często na rybki. Na połów wypływaliśmy naszym największym skarbem, czyli łodzią wiosłową, którą trzymaliśmy na przystani u księdza. Nieroz przy trzcinie płutko wpluntało się w zielsko, rwała się gimpa, a brały tylko żgaje. W wolnym tłumaczeniu ze swojskiego na polski znaczyło to, że niekiedy spławik wplątał się w zielsko, rwała żyłka, a brały tylko cierniki. Ale, mimo wszystko, łowiliśmy wytrwale do pierwszej grubej ryby. W ostatniej klasie podstawówki trener Rydel wciągnął

nas do klubu wioślarskiego. Zaczęliśmy trenować w czwórkę na „Klepie”. Wiosłowałem na szlaku, a szarpali ze mną wiosła – Adaś Zdrojewski, Kaziu Kasprzyk i Rysiu Wasilewski.

Trener Rydel - kiedyś sam szlakowy – zdobył przed laty mistrzostwo Polski w ósemkach dla Legii Chełmża. W tym czasie miejscowa Legia liczyła się także w pływaniu. Prowadziła również drugoligową drużynę bokserską!... Po półrocznym treningu nasza wioślarska czwórka zaczęła odnosić sukcesy. Kiedyś na wyjazdowych regatach dołożyliśmy wszystkim, mimo że spadłem z wózka i tyłkiem jeździłem po szynach. Natomiast zimą szalałem na łyżwach i nartach. Nie zaniedbywałem jednak pływania, które trenowałem na krytym basenie. Nabawiłem się od tego zapalenia zatok.

Nigdy nie miałem czasu na wysuszenie włosów i wyskakiwałem z mokrą głową na mróz. W tym z grubsza czasie wymyśliliśmy nową, zimową zabawę. Na zakręcie drogi należało złapać się ciężarowego samochodu i jechać za nim na drewnianych trepach. Naturalnie, im góra była większa, tym lepiej. Zwykle udawało mi się złapać ciężarówkę przy Świńskim Targu. Jechałem potem z góry aż do samego krzyża, gdzie mieszkał Adam. Naukę w szkole podstawowej zakończył pożegnalny bal. Było bardzo uroczyście. W pewnej chwili zajrzałem do klasy, gdzie zgromadzono ciasta. I wtedy ktoś mnie walnął w potylicę. To znowu był woźny. Rozpłakałem się ze złości. Kopnąłem go w goleń i uciekłem do domu. Nie chciałem potem wrócić

na bal. Dopiero specjalna delegacja namówiła mnie do tego. Moi rodzice, którzy byli na balu, nie chcieli tego incydentu puścić płazem. Zmusili woźnego do publicznych przeprosin. Zdarzyło się to w dziejach szkoły po raz pierwszy. I tym małym triumfem zakończyło się moje dzieciństwo. Młodość zacząłem od egzaminów wstępnych do ogólniaka, którego właśnie kończył mój brat. Na egzaminie ściągnąłem ze ściągą wypracowanie na temat „Opowieść o prawdziwym człowieku”, po czym zostałem licealistą. Na pierwszym wuefie stoczyłem walkę ze Zdzichem Wiśniewskim i rozkwaśiłem mu nos. Od tego czasu nikt się mnie nie czepiał. Dostałem pseudo „Piguła”, z racji „piguł”, jakie rozdzielałem lewym sierpowym. Moja wielka miłość z podstawówki, Jasia, którą targałem niegdyś za warkocz, także zdała do ogólniaka. Nadal się w niej podkochiwałem, tyle że platonicznie.

Do moich treningów pływackich i wioślarskich doszły teraz boks z kulturystyką.

Boks trenowałem w Pomorzanie Toruń, jak również w domu. Pod nieobecność rodziców usuwałem meble z największego pokoju i sparowaliśmy z kolegami.

Byli nimi wicemistrz Polski w wadze półciężkiej Lewandowski i mistrz Pomorza w piórkowej, Jaworski. Kiedyś w ferworze walki zapomnieliśmy o świeżo wymalowanych ścianach i pozostawiliśmy na nich czerwone wzorki z naszej krwi, którą obficie broczyliśmy. Mój brat także trenował boks, tłukąc się po jakiś ringach.

Pamiętam, że kiedyś wrócił z połamanymi żebrami, ale rodzicom bał się przyznać, że to przez boks.



Rozdziałam „Piguły”, koledze Jurkowi Gajewskiemu,
a przygląda się Zdzisław Wiśniewski.

W tym czasie Ojciec kupił nam sztangę, którą wykonano na jego zamówienie. Cóż to było za чудо! Nikt takiej nie miał! Nakładało się talerze, po czym blokowało specjalnym zamkiem. Koledzy do nas przychodzili tylko po to, żeby ją dotknąć. Natomiast przyjaciele mogli potrenować... A mój brat uczył mnie tymczasem stylu klasycznego w pływaniu. Trafił na pojętnego ucznia, bo po roku już z nim wygrywałem. A był już mistrzem Pomorza, o czym wspominałem. Mieliśmy w domu kota Mruczka i psa, który

Koniec Wersji Demonstracyjnej